

SZARGANIE ŚWIĘTOŚCI

Jan Kłossowicz

Buffalo Bill, T. Barnediny, 74/75



LESZEK HERDEGEN —
MARTA LAWIŃSKA — TESKANJAVILA

DZIKI BILL HICKOK

Buffalo Bill, podobnie jak Tom Mix, znany kilku pokoleniom czytelników książek dla młodzieży i komiksów, to idol z amerykańskiej mitologii; jego rekwizyty, to winchester, colt, lasso i dziesięciogalonowy kapelusz, brakuje tylko blue jeans czyli dżinsów, które sprytni panowie Levi i Strauss zaczęli niegdyś szyć nie dla kowbojów i traperów, ale dla poszukiwaczy złota. Mit „strzelca”, który na koniu, z karabinem w garści i rewolwerami w ołstrach walczył na prerii przeciwko hordom czerwonoskórych i zabijał setkami bizony, mit „Dzikiego Zachodu” stał się dzięki filmom i komiksom jednym z podstawowych składników kultury nie tylko amerykańskiej. Oczywiście dzisiaj demaskowanie tego mitu nie jest niczym nowym. Ukazały się już dziesiątki prac historycznych i socjologicznych, powieści i filmów pokazujących prawdę o tym, co było bezlitosną eksterminacją Indian i bizonów, obecnie wziętych pod ochronę i pozamykanych w rezerwach na rządowym wkwicie. Historie o straszliwych pojedynkach rewolwerowców w saloonach i na preriiach Arizony czy Teksasu i akcjach dzielnych szeryfów, w konfrontacji z historyczną prawdą, okazują się nieprawdziwe. Jeden z historyków udowodnił nawet, że romantyczni kowboje, uganiający się w westernach za jedną i wymarzoną dziewczyną, w istocie bywali przeważnie (z braku kobiet na prerii) — pederastami. Konfrontacja legendy z rzeczywistością okazała się, jak zwykle, przykra i przewrotna.

Czy wobec tego warto, po westernach Peckinpaha i pracach obcych i polskich krytyków pokazywać napisaną w roku 1968 sztukę Kopita — na ten sam temat? Chyba jednak warto. Warto pokazać i w teatrze jednego z przedstawicieli pokolenia Amerykanów, którzy podjęli się ze skutkiem niełatwej walki przeciwko narodowym mitom — nie z przekory, ale dla pokazania czemu te mity służą. Pisarze, jak Albee, Kopit czy choćby drukowany w programie

warszawskiego przedstawienia krytyk, John Lahr, wyleli sporo zimnej wody na głowy ludzi wychowanych w błogiej atmosferze mitu (tenże Lahr zatytułował książkę o własnym ojcu — słynnym autorze — „Tchórzliwy lew...”). Przy okazji tocznej przez wiele lat kampanii odpadło trochę kultuńskich stereotypów myślowych, natomiast to, co w legendzie westernu jest naprawdę cenne, wcale nie zaginęło, a dżinsy nie wyszły z mody. Tacy krytycy, jak Lahr, bez ogródek piszą o tym, że mity służą kapitalizmowi i imperializmowi, a pisarze kompromitujący je, odkrobiają spod efekciarskich i dziwacznych nawarstwień to, co w każdej narodowej tradycji naprawdę cenne i godne zachowania.

Historia Billa i jemu podobnych przypomina po trosze nasz własny mit zagonyczyka z kresowej stancji hasającego po Dzikich Polach i kładącego setkami Tatarów i Kozaków czy też ulana, który lancą i szablą rozpędza pułki najlepszej piechoty. Z tym mitem zresztą rozprawiano się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych tak skutecznie, że później trzeba było udowadniać, że jednak ulani byli naprawdę najlepszą formacją kawaleryjską XX wieku. Potem jednak znowu doszliśmy do takiej przesady, że nawet sztukę Jarosława Marka Rymkiewicza, zatytułowaną „Ułani” a wzorowaną na „Damach i huzarach”, ktoś uznał za szarganie tradycji. Zresztą i sam Aleksander Fredro, który najlepsze młodzieńcze lata spędził w siodle, później zbierał ciężki za pisanie komedii, tak już dola pisarza, kiedy się w tryby mitologii dostanie. Mamy mit Romantyzmu i mamy mit Antyromantyzmu — jak dwa kamienie, które wszystko gniotą i wszystko zaslaniają, tak że już nie widać niczego, co poza tym naszą kulturę kształtowało i, chwała Bogu, kształtuje. O tym by sztuki pisać. Póki co, oglądamy sztukę o Indianach.

W Teatrze Powszechnym Williama Cody alias Buffalo Billa gra Stanisław Zaczek. Ubrany w skórzaną traperską

kurtkę i portki z szerokimi ochraniaczami, w stetsonie na głowie, do złudzenia przypomina Johna Wayne’a. Dopiero kiedy zdejmując kapelusz, zamiast gęby amerykańskiego kowboja, widać twarz polskiego inteligenta. Tylko z uzbrojeniem coś nietego, jeden colt normalny — z długą lufą, za to drugi — z krótką, tzw. agent używany raczej w miastach niż na prerii, do tego zamiast winchestera — bodajże garand — karabin amerykańskiej piechoty. I tak po trosze jest z całym przedstawieniem. Zrobione jest ładnie. Mamy tu świetną parodię sztuki z Dzikiego Zachodu granej w Białym Domu na cześć Prezydenta przez samego Buffalo Billa, Neda Buntline’a (jego hagiografa) i rewolwerowca Billa Hickoka, i mamy parodię music hallu i scenę w saloonie i żonglerkę i woltyżerkę. Jest też bardzo piękna, prosta i tragiczna scena masakry Indian na zaśnieżonym polu, wyraźnie wzorowana na Bread and Puppet. Są dwie dobre role — Zaczeka i Herdegena (Bill Hickok). Całe przedstawienie jest jednak jakoś do końca nie dociągnięte. Jak brawura i zabawa, to jakoś nieśmiała, jak dowcip, to przyciężki, jak stylizacja i pastisz, to jakoś niekonsekwentne, jak jedna lufa długa, to druga krótka.

Chyba sama sztuka Kopita nie jest ani wybitnym dziełem literackim, ani, wbrew pozorom, zbyt dobrym materiałem na teatralne widowisko. I w lekturze i w teatrze rozlaży się i rozplywa na poszczególne sceny, popisy, efekty. Jednak kiedy wszelkie problemy łatwo zastępowane są w większości teatrów przez efektowną hecę, taka sztuka musi skusić nawet bardzo wymagającego reżysera. A jeżeli jest tam jeszcze rzeczywiste jakiś problem? Choćby odległy i znany. Co grać? Kiedy polscy dramaturdzy coraz częściej piszą sztuki dziejące się w Południowej Ameryce albo w ogóle „gdzieś” — czyli nigdzie! ■

Teatr Powszechny w Warszawie. Arthur Kopit: „Buffalo Bill” („Indians”). Przekład: Kazimierz Piotrowski. Reżyseria: Zygmunt Hübner. Scenografia: Marcin Jarnuszkiewicz. Premiera 17 maja 1975 r.